



## Bzik tropikalny w warszawskich Rozmaitościach niewiele ma wspólnego z ideą Witkacego

# Być teatrem i nie być

Jerzy Adamski

Aktualność *Bzika tropikalnego*, komedyjki Witkacego sprzed osiemdziesięciu lat, polega na tym, że jest to kpina z kapitalizmu, kapitalistów, kolonializmu, dorobkiewiczów, międzynarodowego wolnego rynku i sposobu, w jaki dzielny, a chamski Polak-nuworysz daje sobie na nim radę. Jest to jednak również rzecz o wielkiej miłości, o niepojętej miłości-namiętności, także o zbrodni. Dokonanej z premedytacją, na zimno i z umiejętnością skutecznego zacierania śladów. Komedyjka kończy się niesamowitym zwrotem akcji, stając się nagle dramatem i krytycznym, zjadliwym potępieniem przedstawionego świata. Mamy więc do czynienia z groteską. Tak jak ją rozumiały lata dwudzieste, europejskie *lata szalone*. A rozumiały ją jako wielką krytykę kultury, dopiero co ocalonej z rzezi pierwszej wojny światowej. Świadectwo tej postawy, gdzie nie o jakąś wyróżnioną formację ekonomiczną idzie czy o jakiś ten lub ów ideał miłosny, lecz o całość kulturową, dała cała sztuka europejska tych lat. Malar-

stwo, rzeźba, muzyka, powieść, liryka. Ale także filozofia, historiografia, publicystyka, eseistyka. Witkacy uczestniczył w tym europejskim ruchu intelektualnym i artystycznym. Nie sposób zrozumieć, o co mu idzie, jeśli się tego nie wie czy nie bierze pod uwagę. Łatwo też, jeśli się tego nie wie czy nie bierze pod uwagę, przerabiać Witkacego na własne kopyto. Tak właśnie postąpił reżyser krakowskiego przedstawienia. Bo rzecz powstała w kręgu krakowskiej szkoły teatralnej jako debiut, a w stolicy pojawiła się z importu.

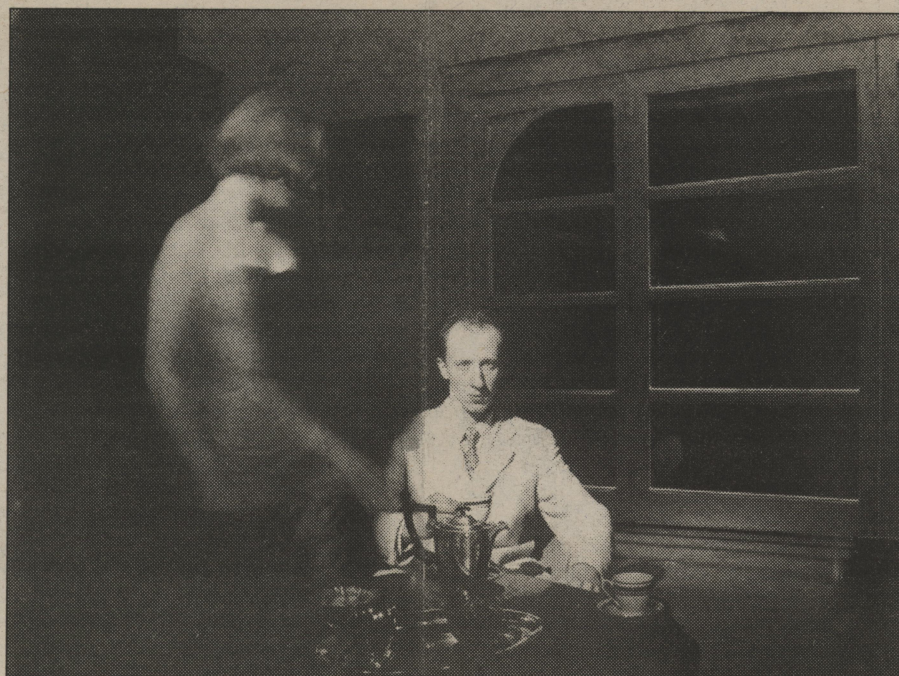
Widać w tym przedstawieniu – barwnym, pełnym muzyki, ruchu, światła – opiekuńczą rękę nauczyciela, mistrza Lupy, z jego upodobaniem spektaklu-wizji, widać jeszcze resztki szkolnej manieri traktowania epizodów (jako autonomicznych całości) i pracy aktora (jako autonomicznego studium postaci), wskutek

czego rytm przedstawienia wędnie, wlecze się i blednie, choć epizody bywają nader gwałtowne, a postacie – niemal akrobatyczne. Akrobatyczne, owszem, ale niestety niewiele ponadto. Tak jakby szkolną manierą chodziło tylko

o stereotypy psychologiczno-obyczajowe, a zarazem o pokaz, że młody krakowski aktor jest fizycznie sprawny, jak każdy aktor być powinien, a nie – jak to w stolicy – nosi przed sobą zwiędły brzuch i buczy donośną mową. Widać też szkolny a moźolny wysiłek, aby włączyć do *Bzika* sceny z Witkacego *Nowego Wyzwolenia*, jednoaktówki napisanej w tym samym dwudziestym roku, i tym sposobem stworzyć oryginalny, sceniczny komentarz. Jakby rzecz sama nie była dostatecznie jasna. Istotnie: w tym przedstawieniu, w tym ujęciu – nie jest. Ujęcie to bowiem polega na próbie zastosowa-

nia do teatralnej inscenizacji – telewizyjnej techniki teledysku, z jego charakterystycznym stylem montażu, z jego organicznym zespoleniem rytmów muzycznych, świecących plam barwnych oraz wyglądown postaci, ich głosów, gestów, ruchów. I próba ta wypada dobrze, jest technicznie sprawna, a przy tym zaskakująca, pomysłowa, dowcipna, kolorystycznie świetna, rytmicznie podniecająca. I powoli Witkacy przestaje być tak bardzo potrzebny. Więcej: staje się coraz mniej potrzebny. Do tego stopnia, że zaskakujące, a niesamowite i pełne ostrej treści zakończenie jego komedyjki po prostu zostaje ucięte i wyrzucone przez młodocianego reżysera, który chce wprowadzić być teatralnym reżyserem, ale i nie być nim jednocześnie. Pokazać Witkacego na scenie, a nie na ekranie, ale bardziej ekranowym niż scenicznym sposobem. Pokazać, jak aktualny jest dziś na nowo Witkacy w Polsce (teraz dopiero odkrywającej dawno już odkryty kapitalizm), ale ukryć aktualność Witkacowej, zrozpaczonej, a zjadliwej krytyki tego kapitalizmu, jako kulturowej, a nie tylko ekonomicznej formacji. To powinno by podobać się formacji pana Balcerowicza i podobnych.

Stanisław Ignacy Witkiewicz *Bzik tropikalny*, oprac. tekstu i reż. Grzegorz Horst d'Albertis, scen. Barbara Hanicka, muz. Bolesław Rawski, Teatr Rozmaitości, premiera 18 stycznia 1997



Cezary Kosiński i Maja Ostaszewska

Fot. Krystyna Zajda



*Bzik tropikalny* w warszawskich Rozmaitościach  
niewiele ma wspólnego z ideą Witkacego

## Być teatrem i nie być

Jerzy Adamski

Aktualność *Bzika tropikalnego*, komedyjki Witkacego sprzed osiemdziesięciu lat, polega na tym, że jest to kpina z kapitalizmu, kapitalistów, kolonializmu, dorobkiewiczów, międzynarodowego wolnego rynku i sposobu, w jaki dzielny, a chamski Polak-nuworysz daje sobie na nim radę. Jest to jednak również rzecz o wielkiej miłości, o niepojętej miłości-namiętności, także o zbrodni. Dokonanej z premedytacją, na zimno i z umiejętnością skutecznego zacierania śladów. Komedyjka kończy się niesamowitym zwrotem akcji, stając się nagle dramatem i krytycznym, zjadliwym potępieniem przedstawionego świata. Mamy więc do czynienia z groteską. Tak jak ją rozumiały lata dwudzieste europejskie *lata szalone*. A rozumiały ją jako wielką krytykę kultury, dopiero co ocalonej z rzezi pierwszej wojny światowej. Świadełstwo tej postawy, gdzie nie o jakąś wyróżnioną formację ekonomiczną idzie czy o jakiś ten lub ów ideał miłosny, lecz o całość kulturową, dała cała sztuka europejska tych lat. Malar-

stwo, rzeźba, muzyka, powieść, literatura. Ale także filozofia, historiografia, publicystyka, eseistyka. Witkacy uczestniczył w tym europejskim ruchu intelektualnym i artystycznym. Nie sposób zrozumieć, o co mu idzie, jeśli się tego nie wie czy nie bierze pod uwagę. Łatwo też, jeśli się tego nie wie czy nie bierze pod uwagę, przerabiać Witkacego na własne kopyto. Tak właśnie postąpił reżyser krakowskiego przedstawienia. Bo rzecz powstała w kręgu krakowskiej szkoły teatralnej jako debiut, a w stolicy pojawiła się z importu.

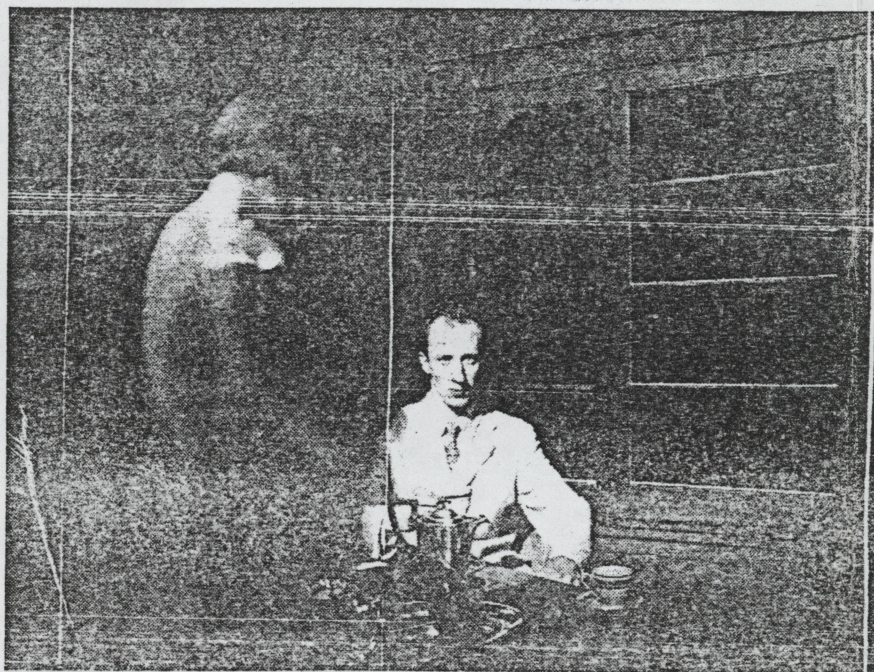
Widać w tym przedstawieniu – barwnym, pełnym muzyki, ruchu, światła – opiekuńczą rękę nauczyciela, mistrza Lupy, z jego upodobaniem spektaklu-wizji, widać jeszcze resztki szkolnej manieri traktowania epizodów (jako autonomicznych całości) i pracy aktora (jako autonomicznego studium postaci), wskutek

czego rytm przedstawienia wędnie, wlecze się i błednie, choć epizody bywają nader gwałtowne, a postacie – niemal akrobatyczne. Akrobatyczne, owszem, ale niestety niewiele ponadto. Tak jakby szkolną manierą chodziło tylko

o stereotypy psychologiczno-obyczajowe, a zarazem o pokaz, że młody krakowski aktor jest fizycznie sprawny, jak każdy aktor być powinien, a nie – jak to w stolicy – nosi przed sobą zwiędły brzuch i buczy donośną mową. Widać też szkolny a mozolny wysiłek, aby włączyć do *Bzika* sceny z Witkacego *Nowego Wyzwolenia*, jednoaktówki napisanej w tym samym dwudziestym roku, i tym sposobem stworzyć oryginalny, sceniczny komentarz. Jakby rzecz sama nie była dostatecznie jasna. Istotnie: w tym przedstawieniu, w tym ujęciu – nie jest. Ujęcie to bowiem polega na próbie zastosowa-

nia do teatralnej inscenizacji – telewizyjnej techniki teledysku, z jego charakterystycznym stylem montażu, z jego organicznym zespoleniem rytmów muzycznych, świecących płam barwnych oraz wyglądown postaci, ich głosów, gestów, ruchów. I próba ta wypada dobrze, jest technicznie sprawna, a przy tym zaskakująca, pomysłowa, dowcipna, kolorystycznie świetna, rytmicznie podniecająca. I powoli Witkacy przestaje być tak bardzo potrzebny. Więcej: staje się coraz mniej potrzebny. Do tego stopnia, że zaskakujące, a niesamowite i pełne ostrej treści zakończenie jego komedyjki po prostu zostaje ucięte i wyrzucone przez młodocianego reżysera, który chce wprawdzie być teatralnym reżyserem, ale i nie być nim jednocześnie. Pokazać Witkacego na scenie, a nie na ekranie, ale bardziej ekranowym niż scenicznym sposobem. Pokazać, jak aktualny jest dziś na nowo Witkacy w Polsce (teraz dopiero odkrywającej dawno już odkryty kapitalizm), ale ukryć aktualność Witkacowej, zrozpaczonej, a zjadliwej krytyki tego kapitalizmu, jako kulturowej, a nie tylko ekonomicznej formacji. To powinno by podobać się formacji pana Balcerowicza i podobnych.

Stanisław Ignacy Witkiewicz *Bzik tropikalny*, oprac. tekstu i reż. Grzegorz Horst d'Albertis, scen. Barbara Hanicka, muz. Bolesław Rawski, Teatr Rozmaitości, premiera 18 stycznia 1997



Cezary Kosiński i Maja Ostaszewska

Fot. Krystyna Zajda